TOŻSAMOŚĆ

TO NIE DEMOKRACJA NAPĘDZA REWOLUCJĘ OBYCZAJOWĄ. JEST WRĘCZ PRZECIWNIE

Jakub Siemiątkowski · 20 sierpnia 2025

Zwiększenie wpływu ludu na rządy wielokrotnie już prowadziło do wyhamowania postępów liberalizmu.

„Demokracja w pewnym sensie wymaga niszczenia fundamentów istnienia cywilizacji" – pisze Adam Twaróg w opublikowanym na łamach Nowego Ładu tekście *Cthulhu płynie do lewej strony – jak demokracja napędza rewolucję społeczną*. Postawmy tezę odwrotną: w obecnych warunkach – ale bywało tak często również dawniej – demokratyzacja przyczynia się do zastopowania destrukcyjnych zmian kulturowych zachodzących w naszej cywilizacji. Katalizatorem tych ostatnich jest natomiast nieodmiennie liberalizm, którego konflikt – a nie pogłębianie symbiozy – z demokracją narasta na naszych oczach.

Nie chciałbym, by tekst niniejszy został odebrany jako polemika wobec artykułu, który napisał Twaróg. Powiedzmy, że jest on raczej pisany na kanwie rozważań nad tym opublikowanym przez niego przed kilkunastoma dniami. Podkreślam to nie tylko dlatego, że z częścią wywodu Twaroga się zgadzam, ale i dlatego, że on sam – jak deklaruje – nie powiedział jeszcze ostatniego słowa na podejmowany tu temat. Czekając więc na kolejny artykuł jego cyklu, odniosę się dziś do niektórych sformułowań pojawiających się we wspomnianym wywodzie – gdyż wydają mi się one charakterystyczne dla toku rozumowania części środowisk tradycjonalistycznych, a przy tym nie do końca, jak sądzę, przystają one do realiów. Zmierzymy się tu więc z kilkoma takimi kliszami, traktując niektóre tezy z tekstu Twaroga jako punkt wyjścia do rozważań – z którymi podążymy jednak nieco dalej, odnosząc się do kilku innych zagadnień związanych z demokracją nieliberalną i pokrewnymi pojęciami. Zasygnalizujmy przy tym od razu: szerzej wyłożone uwagi nad tą tematyką znajdzie czytelnik na łamach nowego numeru „Polityki Narodowej", który właśnie trafił do sprzedaży – już teraz zachęcam do lektury każdego, kto głębiej interesuje się opisywanym tu tematem.

Oddzielić demokrację od liberalizmu

Istnieją dość intuicyjne co prawda, ale jednak realne różnice w pojmowaniu demokracji nieliberalnej przez różne polskie środowiska kontestujące w jakiś sposób model demoliberalny. Mimo że dyskusja na ten temat jest w powijakach, można te różnice uchwycić w dotychczasowych wywodach przedstawicieli tych kręgów – do czego za chwilę przejdziemy.

Na tym etapie skonstatujmy: demokracja nieliberalna nie jest dziś jakimś bardzo doprecyzowanym systemem, konkretnym ustrojem, zbiorem skonkretyzowanych rozwiązań – jest to raczej zbiór różnych wizji, pomysłów i intuicji. Jest to swoista magma, z której prędzej czy później coś się uformuje, ale jeszcze nie do końca wiemy, co to będzie. Można więc oczywiście zwolennikom tego hasła zarzucać niedoprecyzowanie pojęć – do czego sami się nieraz przyznają – natomiast nieuczciwe intelektualnie byłoby zrównywanie ich wszystkich z dążeniem do jakiejś formy ochlokracji, a tym bardziej kultu decyzji podejmowanej każdorazowo przez większość społeczeństwa.

> Zasada 50%+1 głos ani na Nowym Ładzie, ani w „Polityce Narodowej" nie była do tej pory postrzegana w kategoriach jakiejś niepodważalnej świętości, w imię której można byłoby kontestować wartości najwyższe. Walka z tą zasadą, którą to część tradycjonalistów – nie wiedzieć czemu – wzięła za podstawowe przykazanie polskich sympatyków narodowego populizmu, jest więc walką z chochołem i nie wnosi do dyskusji nic pożytecznego. Dodajmy dla porządku, że – historycznie rzecz rozpatrując – formą demokracji nieliberalnej może być przecież nawet władza jednostki, o ile legitymizowana jest wolą i interesem ludu (cezaryzm, bonapartyzm). Samo to uświadamiać powinno każdemu, że demokracja nieliberalna niekoniecznie równa się uznaniu każdorazowo wyrażonej woli ogółu za wartość najwyższą. Sprawa jest bardziej złożona.

Istotne – mało to odkrywcze, ale podkreślmy – wydaje się, że wspólny mianownik dla różnych form demokracji nieliberalnej sprowadza się do zanegowania dobroczynnego wpływu liberalizmu na system demokratyczny. I tu ważna uwaga. Ideą przewodnią demokracji nie jest dyskusja – jak mogłoby wydawać się po lekturze niektórych fragmentów tekstu Adama Twaroga. Demokracja to nie liberalizm z jego swoistym kultem sporu. Nieprzypadkowo ideałem apostoła nowożytnej demokracji, Jana Jakuba Rousseau, była nie tyle wielość opinii i spory między je głoszącymi, ile jednomyślność – nie pluralizm, ale jedność narodowa. Nadmierne zróżnicowanie zdań, potencjalnie podmywające fundamenty wspólnoty, uważał Rousseau za coś niedopuszczalnego. Demokracja miała być systemem celebracji wspólnotowości i jedności – celebracji patriotyzmu. Zachodzące dopuszczalne różnice miały dotyczyć spraw – użyjmy terminu Twaroga – „technicznych". W wypadku zaś ewentualnej rozbieżności opinii – o ile by w ogóle do takiej w cnotliwym, patriotycznym społeczeństwie doszło – przegłosowana większość miała dostosowywać się do ogółu, w imię spoistości wspólnoty właśnie. Można by powiedzieć, że to – miejscami – założenia podobne do tych, które wyraża Twaróg w swoim tekście. Bardzo możliwe, że jest on tego świadom – nie wątpię jednak, że wielu konserwatystów tak chętnie plujących na myśl twórcy nowożytnej demokracji nie ma o tym pojęcia.

Wizje Rousseau są oczywiście wizjami bardzo teoretycznymi, momentami utopijnymi – w praktyce demokracje wyglądają nieraz zupełnie inaczej. Można byłoby się tu jednak zastanawiać nad interpretacjami demokratyzmu. Liberalny izraelski politolog Jacob Talmon w klasycznych *Źródłach demokracji totalitarnej* zauważał, że istnieją dwie formy demokracji – demokracja liberalna oraz totalitarna właśnie, którym to mianem ochrzcił systemy nieliberalne wywodzące się z myśli Rousseau, aż po komunizm i faszyzm. Odrzucając typowe dla liberalnego myśliciela etykietki oraz towarzyszące im wartościowanie – z pewnością tkwi w tym rozróżnieniu pewna prawda. Faktem jest, że demokracja russowska – choć jej konsekwencją

raczej nie musi być totalitaryzm – ma w sobie zaprogramowany element idealistyczny, jednocześnie bardzo odległy od liberalnego kultu dysputy, pluralizmu etc.

Jako pojętni uczniowie Jana Jakuba, francuscy jakobini wyciągnęli z tego konsekwencje – ów tok myślenia widzimy potem w najróżniejszych nacjonalizmach – a i jest to zgodne z literą samego russoizmu: otóż w starciu z takimi (liberalnymi) wartościami jak wielość opinii, tolerancja dla cudzych poglądów, a nawet (demokratyczna) wola większości – górę bierze ostatecznie czynnik najwyższy, a jest nim interes wspólnoty. Wielu już badaczy wskazywało, że kategoria woli powszechnej Rousseau jest silnie powiązana z kategorią interesu narodowego, który przecież może nie być zbieżny z aktualną wolą większości obywateli. Rousseau, twórca nowoczesnego – acz czerpiącego wprost z antyku – demokratyzmu, chyba niespecjalnie wierzył w łatwość ustanowienia rządów ogółu, pozostawiając otwartą furtkę systemom odbiegającym od tego schematu. Wszak tenże ogół może nie umieć rozpoznać woli powszechnej, może nie umieć kierować się interesem wspólnoty – wtedy władzę dzierżą ci, którzy to potrafią: cnotliwi obywatele.

Nawiasem mówiąc: z pewnym rozbawieniem śledzę ostatnio dość emocjonalne reakcje licznych konserwatystów na mój tekst dotyczący Rousseau, który ukazał się w nowej „Polityce Narodowej". Ów dysonans wynika nie tylko z tego, że mamy tu do czynienia z typowym przykładem oceniania książki po okładce – wszak artykuł odległy jest w swojej wymowie od uprawiania hagiografii filozofa, po części nawet stara się z jego myślą polemizować. W dobie dominacji mediów społecznościowych może jednak nie powinno dziwić to, że ludziom łatwiej komentuje się tytuły tekstów niż zawarte w nich tezy.

> Zdziwienie natomiast wywołać musi dość powszechna chyba wśród tradycjonalistów niewiedza, że Rousseau bywał – i wciąż bywa – pozytywnym punktem odniesienia dla bardzo różnych odmian prawicy. Długo można by wyliczać znanych prawicowców inspirujących się Janem Jakubem, postrzegających go – z jakichś najwidoczniej przyczyn – jako wielką i pozytywną postać myśli europejskich politycznej. Znajdą się w tym zróżnicowanym zbiorze między innymi: kontrrewolucyjny romantyk Chateaubriand, stańczyk ks. Kalinka, ewoluujący ku prawicy nacjonalista Barrès, twórcy dystrybucjonizmu Chesterton i Belloc, „stary" endek Konopczyński i „młody" endek-monarchista Frycz, decyzjonista Carl Schmitt, twórca Nowej Prawicy Benoist, katolicki konserwatysta Spaemann, gaullista Zemmour...

Nikt nikomu nie każe się z którymkolwiek z nich zgadzać, ale warto chociaż mieć świadomość faktów. Choć to może przyjść trudniej niż rzucanie epitetami, to chyba warto wiedzieć, skąd się ta fascynacja brała – bo przecież mogą za nią stać jakieś racjonalne przesłanki. Tym bardziej, że to nie jest materia nieopisana – na samym tylko polskim gruncie opisywali to zjawisko badacze tak różni jak marksista prof. Baczko, liberał prof. Walicki i konserwatysta prof. Wielomski.

Co jest najważniejsze?

Wróćmy jednak do tekstu Adama Twaroga. Pisze on: „Każda organizacja, która nie prowadzi stałej walki, stałego wysiłku o pozostanie prawicową, prędzej czy później stanie się lewicowa. Jeśli nie walczy się intensywnie o zachowanie tego źródłowego *czegoś*, co stanowi o istnieniu twojej organizacji, instytucji

lub szerzej – kultury, cywilizacji czy narodu, to *coś* ulegnie rozpadowi" – abstrahując od pojęcia „prawicy", z którym nie w pełni się identyfikuję, wypada mi się z cytowanym stwierdzeniem zgodzić. Tak winno działać środowisko ideowe. Celem bowiem są naród i jego dobro, a nie incydentalnie wyrażona wola ludu jako taka – wracając do sygnalizowanego już wątku. Dążenie do pogłębiania świadomości narodu, pogłębiania jego patriotyzmu, a także będąca tego konsekwencją faktyczna jego polityzacja, przez co rozumiem dążenie do brania na siebie przez członków narodu większej odpowiedzialności za wspólnotę – oto nasze rozumienie demokracji. *Clou* demokracji jest uczestnictwo – pisał Alain de Benoist.

I to właśnie zastrzeżenie wydaje mi się kluczowe dla rozważań nad demokracją nieliberalną – to jej rozumienie, które reprezentują sympatyzujący z tym pojęciem narodowcy, odbiega od kultu każdej decyzji suwerennego ludu wyrażonej w referendum czy plebiscycie, nie mówiąc już o wyborach przedstawicieli do parlamentu. Odbiega więc – jak sądzę – od rozumienia demokracji nieliberalnej, które głosi alt-left, ale też na przykład część publicystów Klubu Jagiellońskiego.

> Rzecz nie w tym, by negować potrzebę częstszego dawania głosu demosowi – wydaje się to wskazane choćby dlatego, że jest zdrową sytuacja, w której obywatele mają zapewnioną drogę wypowiedzi w formie mniej zniekształconej, niż dzieje się to za pośrednictwem posłów na Sejm, którzy nadzwyczaj często okazują się oderwanymi od życia klaunami. Zważywszy na fakt, że w demoliberalizmie referenda są stosowane właściwie od święta, a demokracja parlamentarna przypomina nieraz raczej oligarchię, demokracja walcząca stanowi zaś system liberalizmu walczącego z demokracją – przyjęcie naszego, wykładanego tu konceptu byłoby istotnym krokiem w kierunku realnej demokratyzacji. Nasz demokratyzm jest więc demokratyzmem szczerym.

Nie to jest jednak najważniejsze – demokracja nie jest dla nas bożkiem, nie jest źródłem wszystkich innych wartości. Sam zaś naród – jako wspólnota pokoleń dawnych, obecnych i przyszłych – to jednak coś więcej niż współcześnie żyjący lud. Rozpoznanie interesu narodowego bywa sprawą złożoną, a banalne może wydać się stwierdzenie, że nie ma i pewnie nie będzie systemu, który jest w stanie go w sposób doskonały realizować. Podobnie trudno w dzisiejszym świecie zabezpieczyć jest to, o co w swoim tekście zabiega Twaróg – zasadę niepodmywania podstaw narodu. Należy jednak szczególnie mocno powątpiewać, że umożliwiłoby to ograniczenie demokracji.

Utożsamianie demokracji z postępami dekonstruowania cywilizacji zachodniej wydaje się nieuprawnione. Jak czytamy we wzmiankowanym tekście: „Celem stronnictwa politycznego [w demokracji] nie jest porozumieć się z drugą stroną, aby osiągnąć konsensus czy wskazać merytorycznie lepszą ideę, ale wygrać" – to prawda, tyle że słowa te charakteryzują nie tyle demokrację, ile… politykę jako taką. Dyskusja zawsze powoduje podział, zawsze tworzą się stronnictwa – znaliśmy je przecież w erze przednowoczesnej, przeddemokratycznej, a bywało, że spory wówczas toczone dotyczyły spraw kluczowych dla istnienia społeczeństwa, takich jak wybór religii. Zgoda, że w ostatnich dziesięcioleciach przekroczono niejeden Rubikon – ale czy winą za to należy obarczać właśnie demokrację?

Co więcej, mówi Twaróg o dyskutowaniu nad podstawami społeczeństwa w demokracji, a przecież dyskutowały nad tym właściwie zawsze elity (!) intelektualne, a nie masy. Także dziś wciąż w dużej mierze

tak jest – a nawet jeśli przeciętny Polak zajmuje się tego typu zagadnieniami, to jest to przecież pochodna faktu, że dyskutuje się o tym w mediach, w sferach intelektualnych, a wreszcie politycznych. Takie „podmywanie podstaw narodu" może dokonywać się w każdym systemie, bo w każdym jest jakaś dyskusja, w każdym są jakieś elity, właściwie w każdym jest jakaś „katedra", mówiąc Yarvinem.

> Co więcej, bez uczestniczącego w życiu politycznym ludu, który trzeba do różnych nowinek przekonywać, urabiać go – może to być daleko prostsze. Znamy przecież ten mechanizm. Wystarczy intelektualna moda, by elity zafiksowały się na punkcie jakiejś nowinki, na co z kolei z zadziwieniem – przynajmniej przez pewien czas – patrzeć będzie zachowawczy lud. Czynnik demokratyczny nie ułatwia tego procesu, a może wręcz go utrudnia – do czego jeszcze wrócimy.

Pisze Twaróg, że nawet „jeśli byśmy stwierdzili, że dyskurs może być prowadzony tylko do jakiejś granicy, to bodźce dla jej przekroczenia dalej pozostają obecne. Z prostego względu – dialektyka zawsze oznacza więcej politycznej energii i więcej władzy". Jest to być może prawda, ale w jaki sposób od tego uciec? Czy systemy niedemokratyczne będą w stanie to zrobić? Nieprzypadkowo nawet w kontrrewolucyjnej wizji dziejów – z którą się nie identyfikuję – początek rozkładu cywilizacji europejskiej zaczyna się na długo przed erą panowania demokracji. Można ten moment – w zależności od upodobań – datować na wiek XIII, XVI bądź na erę centralistycznych absolutyzmów monarszych, z demokracją czy pluralizmem mającą jeszcze mniej wspólnego niż stare dobre średniowiecze. Nie demokracja jest bowiem katalizatorem rozkładu – jest nim wyzwolenie jednostki z zobowiązań społecznych.

Demokracja jako nośnik konserwatyzmu społecznego?

Ważne wydaje się jeszcze coś innego. Jeśli wykroczymy poza sferę aksjologii i zajmiemy się kwestiami „taktycznymi", być może przyjdzie nam stwierdzić, że populizm niekoniecznie jest ideałem – może nawet w pierwszym rzędzie stanowić powinien środek do celu. Jest taranem uderzającym w obecny ład.

> Mało kto idealizuje bowiem masy – chodzi nam tu o fakty. Teza o „lewym dryfie demokracji" nie przystaje do realiów. Demokratyzacja spycha dziś dyskurs „w prawo". Jest tak prawie wszędzie, a proces ów się nasila. Przecież to przeważnie gniew ludu – związany z imigracją, a czasem „obyczajówką" – kierowany przeciw liberalnym elitom staje się przyczyną poparcia ruchów narodowo-populistycznych.

Twaróg – i nie on pierwszy – dowodzi, że masy się degenerują, umożliwiając postępy rewolucji kulturalnej. Czy elity temu procesowi podlegają wolniej? Doprawdy mało ryzykowne będzie założenie, że przeważnie degenerują się one o wiele szybciej niż lud. Można się naśmiewać z rzekomego konserwatyzmu ludu – ale przecież na koniec dnia to elektorat bardziej przystający do definicji ludu wybiera Nawrockiego, a ten bardziej „elitarny" – Trzaskowskiego. W szczegółach wygląda to różnie, ale generalnie jest właśnie tak. Skoro – jak twierdzi wielu i wypada się z tym zgodzić – rozbrat liberalizmu z demokracją się obecnie pogłębia, a to demokracja oddaje głos rozsądniejszemu, bardziej zakorzenionemu, bardziej „konser-

watywnemu" czynnikowi społecznemu, to trzeba w tym starciu obstawiać demokrację. Nic w tym zresztą nowego.

Reakcjoniści lubią rozprawiać o tym, jakie zło wyrządziła Europie i światu niosąca laicyzację rewolucja francuska – ale jakże często ucieka im znany fakt, że rewolucję poprzedziły całe dekady gnicia elit, wywodzącej się z dawnego rycerstwa arystokracji. Zlaicyzowanej już potężnie, przysłowiowo wręcz rozpustnej, zainteresowanej filozoficznym liberalizmem wieku świateł. W tym kontekście odruch strącającego to zwierzchnictwo, surowego obyczajowo, upodmiotawiającego się ludu można postrzegać jako wręcz skręt we właściwym kierunku – tak jak to czynił na przykład Chesterton.

Z drugiej strony, przecież wiadomo, że we Francji jakobińskiej „góra" nie zdecydowała się na wprowadzenie faktycznej demokracji bezpośredniej, bo była pewna że lud jest kontrrewolucyjny, monarchistyczny. Ergo oddanie władzy ludowi determinowałoby... prawy skręt. W XIX w. schemat ten powtarzał się we Francji kilkukrotnie. Pod koniec tego stulecia w Niemczech wprowadzający powszechne prawo wyborcze konserwatywny Bismarck „zabezpieczył" w ten sposób państwo przed partią inteligentów, tj. ugrupowaniami liberalnymi, co – jak chce badacz Dieter Langewiesche – wpłynęło istotnie na ewolucję niemieckiego nacjonalizmu, pierwotnie lewicowo-liberalnego, w kierunku autorytarnym. Idąc dalej, przyjmuje się, że w początkach istnienia II RP to rozciągnięcie praw wyborczych na kobiety mogło dać aż taką przewagę endecji. Niewiasty bowiem były bardziej religijne, a przez to bardziej skłonne głosować na prawicę – to zresztą w tamtej epoce dość typowy schemat, wyłamujący się poniekąd narracji fanów Red Pillu.

Pisze Adam Twaróg o imigracji, a przecież kolejne fale obcoplemiennych przybyszów były sprowadzane przez elity – biznesowe, polityczne oraz intelektualne – wbrew ludom Europy, a nie w myśl ich oczekiwań. I dziś to te ludy się imigracji przeciwstawiają... wbrew elitom. Kiedy Enoch Powell wygłaszał swoje słynne przemówienie o „rzekach krwi" – masy ludu go popierały, a elity jego ugrupowania, Partii Konserwatywnej, nabrały wody w usta. Elity liberalne czy lewicowe – po prostu się go zaparły.

> Do ludu można mieć pretensje o niedostatecznie konsekwentny opór, o brak umiejętności przewidywania – ale raczej nie o generowanie wzmiankowanych tu problemów. Oczywiście, konserwatyzm współczesnego ludu, także polskiego, to nie jest konserwatyzm z marzeń oderwanych często od faktów tradycjonalistów – ale przecież jeśli spojrzymy na dane, to nie mamy wątpliwości, że jest on w większości spraw daleko bardziej realny niż konserwatyzm elit.

Z drugiej strony, zastanawiamy się często, dlaczego zachodnie ruchy narodowo-populistyczne mają tak miękkie poglądy w kwestiach kulturowo-obyczajowych. Czy jest tak dlatego, że – w imię swojego demokratyzmu – musiały one dostosować się do poglądów mas? Byłoby to spłycanie problemu, rozpatrywanie go przez pryzmat krótkiego wycinka czasu, a należy przyjrzeć się całej sekwencji wydarzeń: główna przyczyna tego zjawiska tkwi w tym, że w ciągu minionych dziesięcioleci same masy uległy odgórnej liberalizacji w wyniku celowej popularyzacji liberalnych wzorców przez hiperliberalne elity intelektualne, stawiające egoistyczne potrzeby jednostki ponad wspólnotą. To nie jedyna przyczyna – ale najistotniejsza. To więc nie demokratyzacja wymusiła poparcie przez masy na przykład postulatów ruchu LGBT. Ludy zachodnie poparły te postulaty później niż elity, i jest to generalnie norma.

> To nie demokracja niszczy Europę, nie niszczą jej zwiększanie się wpływu ludu na władzę czy w ogóle jego polityzacja. W zakresie samej charakterystyki funkcjonowania państwa i przepływu idei demokratyzacja powoduje różnice głównie ilościowe, nie jakościowe. Europę niszczą: postawienie na piedestale jednostki z jej nieskrępowanymi zachciankami, oderwanie wolności od obowiązku, hołdowanie dążeniu jednostki do niepohamowanej, niszczącej wszelkie normy ekspresji – wszystko to są znamiona nie demokracji, ale liberalizmu.

Historyczne zaś różnice pomiędzy nimi to sprawa szeroko już opisana, oszczędźmy sobie przytaczania wywodów badaczy. Należy więc sprzyjać oddzielaniu się demokracji od liberalizmu – a w tymże procesie poprzeć tę pierwszą.

Pytanie o realność

Na koniec warto naświetlić jeszcze inną perspektywę. Demokratyzacja, upolitycznienie mas – to proces już dokonany. To już się stało i się tego zapewne nie da cofnąć – jakkolwiek byśmy owoce tych zjawisk oceniali. Nie cofniemy polityki masowej, umasowienia narodów, upolitycznienia ich. O ile nie nastanie „nowe średniowiecze" w pełnej krasie – nie cofniemy tego, co Adam Twaróg w swoim tekście zwie totalizacją polityki. Ostatecznie więc pytanie o demokrację nieliberalną czy populizm jest pytaniem o pewną realność. Zostawmy przez chwilę na boku same pryncypia ideowe, rozważmy właśnie tę płaszczyznę.

Narodowy populizm jako formacja ogólnoeuropejska (czy nawet ogólnoświatowa), choć wciąż nie jest zjawiskiem w polityce dominującym, wytrwale jednak bije się o swoje – stoi przed szansą realną. Szansą przekształcenia znanego nam świata w coś trochę bardziej przystającego do naszych wyobrażeń o tym, jak „powinno być".

A jakie są alternatywy? Czy nie jest tak, że różne propozycje tradycjonalistyczne to po prostu ciekawa gimnastyka intelektualna, a nie realna opcja wyboru dla współczesnych narodów? Na „prawicy" pewnie każdy ma w głowie jakiś swój idealny ustrój, idealną wizję – przeświadczenie, że któryś system polityczny, występujący w którejś epoce, w którychś warunkach – był tym najbliższym stanu pożądanego. Ale przecież gdy przychodzi oceniać sferę praxis, oceniać świat realny – trzeba odnosić się do faktów, weryfikować.

Twaróg pisze, że na prawicy są wysuwane różne propozycje, a wśród nich jest demokracja nieliberalna. Abstrahując od ogólnikowości tego pojęcia – ja widzę to inaczej. Jest mglista, ale jakaś propozycja demo--nieliberalna, i właściwie nic poza tym. Chodzi o pewien kierunek – dowartościować głos ludu, mas – dać im większą podmiotowość, zmniejszając tym samym destrukcyjny wpływ liberalnych, wykorzenionych elit. Nikt dokładnie nie wie, gdzie nas to zaprowadzi – ale jest to jakiś plan, albo chociaż jego zarys.

> Bo skoro nie lud, to kto? Świetnie jest rozprawiać o rządach elit, tych prawicowych – patriotycznych, narodowych czy konserwatywnych elit – ale gdzie są te elity? Trzeba je wykształcić – to wiadomo, ale przecież mowa tu o procesie rozciągniętym na dziesięciolecia, który dokonywać się powinien permanentnie, a który nie zwalnia z konieczności równoległych działań politycznych. Z kolei z zadekretowania wyższości na przykład monarchii nad demokracją nie wynika nic, do ni-

> czego nas to nie przybliża – jeśli oczywiście mamy ambicję sprowadzić dyskusję z poziomu akademickiego na praktyczny.

Nie negując konieczności czysto teoretycznych rozważań – starajmy się je formułować w zaczepieniu o jakieś punkty. Zacznijmy uwzględniać w naszych rachubach to, jaki jest ten świat.

Generalnie więc nawet gdybym był reakcjonistą – albo... neoreakcjonistą – cieszyłyby mnie sukcesy europejskich populizmów, ruchów demokracji nieliberalnej etc. Sam Yarvin zdaje się tę dynamikę doskonale rozumieć, skoro udziela aktywnego poparcia sztandarowemu przedstawicielowi narodowego populizmu, jakim jest trybun ludowy naszych czasów – Donald Trump. I przecież nie chodzi tu o ciepłe uczucia względem samego prezydenta USA – które są mi osobiście odległe. Ale gra się kartami, jakie się ma. Istotne, że dla różnej maści „niszowej", „skrajnej" – można wstawić tu dowolny epitet – prawicy wzrost wpływów populistów może tworzyć większą swobodę działania, dawać więcej pól aktywności. Przesuwać to legendarne „okno Overtona". W szczegółach to wszystko oczywiście wciąż pewna niewiadoma, ale tak zdaje się podpowiadać intuicja. Liberalna lewica wie, co robi, gdy straszy narodowymi populistami – nawet tymi, którzy wydają się nam dziś ideowo mdli.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=NziOoAa_1vE

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/to-nie-demokracja-napedza-rewolucje-obyczajowa-jest-wrecz-przeciwnie/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć